

Science Fiction

Cetnarowski Gütsche Jaworowski
Kosik Majka Miszczak Nowak Protasiuk
Przybyłek Szyda Zbierchowski

oraz

Jacek Dukaj

Science Fiction



powergraph

Warszawa 2011

Copyright © 2011 by Cezary Zbierchowski, Rafał Kosik, Paweł Majka, Michał Protasiuk, Alexander Gütsche, Andrzej Miszczak, Błażej Jaworowski, Marcin Przybyłek, Wojciech Szyda, Michał Cetnarowski, Jakub Nowak, Jacek Dukaj, Tomasz Kołodziejczak

Copyright © 2011 by Powergraph

Copyright © 2011 for the cover by Rafał Kosik

Wszelkie prawa zastrzeżone.

All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Redakcja: Michał Cetnarowski, Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow, Tomasz Hoga

Skład i łamanie: Powergraph

Ilustracja na I okładce: Rafał Kosik, Konstantin Inozemtsev

Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01

www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Ceglowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26

powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-22-6

Printed in Poland, EU

Cezary Zbierzchowski

Smutek parseków

Nienawidzę podróży i podróżników.
Claude Lévi-Strauss, *Smutek tropików*

1

Śniła mi się kula światła wypełniona metalowymi owadami. Śniła mi się krótką chwilę, całą pokładową noc; osiem godzin i czterdzieści pięć cholernych minut.

— Witaj, Archer! — odzywa się w głowie Alanis.

Otwieram oczy, by zobaczyć zeskorupały sufit poprzecinany żyłkami przewodów, w których pulsuje krew statku. Kabina jest wygodna jak klatka w watykańskim ZOO, ale pod spuchniętymi powiekami nadal płonie kula: świeci jasno, chociaż nie oślepia. Chromowane insekty biegają po niewidzialnych ścieżkach, a ich drogi bezustannie krzyżują się ze sobą.

Dotykam uszu, z których sypie się martwy naskórek (alergia wywołuje złośliwą egzemę), i myślę o błyszczących skrzydełkach i pancerzach; każdemu potarciui odwłokiem o odwłok towarzyszy metaliczny odgłos, który kiedyś doprowadzał mnie do szaleństwa. Owady są szlachetniejsze od zwyczajnych karaluchów, ale włączają na siebie równie chętnie i równie obscenicznie. Ciągle mam je przed oczami, zamiast egzotycznych krajobrazów, które

obeicywano nam w lunaporcie. I nie jest to zwyczajny ludzki koszmar, lecz zawzięty jak diabli, cyfrowy majak SI kontrolującej statek. Ten sam, nieustający sen od stu pięćdziesięciu lat.

Krótkie chwile aktywności Rady zasadniczo nie mają znaczenia. Trwają tylko kilka tygodni, a mózg Obserwatora nie potrafi samodzielnie wejść w fazę REM. Nadal podczas pokładowych nocy muszą korzystać z pomocy Alanis, śnić srebrzyste robactwo i wsłuchiwać się w to uporczywe cykanie.

Pierwszemu wyjściu z lewitacji towarzyszył wrzask zbierany w płucach przez dwadzieścia pięć lat: *cyk-cyk, cyk-cyk*, sekunda za sekundą, siedemset dziewięćdziesiąt milionów sekund. Ale gdy przywykłem do metalicznego dźwięku, to cisza pokładu dziobowego stała się nieznośna i przygnębiająca. Cisza jest historią opowiadaną przez samotność, a Archer van Ness nienawidzi samotności, boi się samotności i umiera na nią tak samo jak na nieszkodliwy dla innych nieżyty nosa. Jest komicznym facetem, umiera na katar cztery lata świetlne od Ziemi.

— Pięćdziesiąt pięć tysięcy sto dwudziesty pierwszy dzień podróży, godzina siódma piętnaście czasu DLV. — Kocham ten aksamitny głos. — Temperatura na pokładzie dziobowym: dwadzieścia dwa stopnie. Średnie ciężenie: zero koma dziewięć G. Wilgotność: czterdzieści pięć procent i nieznacznie rośnie. Utrzymujące się skażenie na terenie kolonii B.

Zostawiłem swoje życie w lunaporcie – jak zagubiony bagaż – i już prawie nie pamiętam, dlaczego wziąłem udział w tej podróży. Raczej nie przez głód przygód; stawiałbym na wyzwolenie od alergii w antyseptycznym środowisku statku-arki. „Dieu Le Veut” nie bombardował mieszkańców zabójczymi grzybami, wirusami i roztocznymi. Na sto lat rzeczywiście uwolnił mnie od cierpienia, a za obecny stan odpowiedzialność ponoszą martwi koloniści. Staram się o tym nie myśleć, skupiam uwagę na objawach matematycznej choroby, która zniekształciła rzeczywistość wokół mnie.

GARDRAM. Kurwa mać.

Kula jako symbol planety zaatakowanej przez zdziczałe szczepy; nanoboty wgrzyżające się w głąb skorupy, wyjaławiające tysiące hektarów ziemi. Genialny wynalazek agrotechników, przed którym uciekliśmy w przestrzeń. Rozważam też podtekst seksualny, który mógł pojawić się w wyniku długotrwałej deprywacji (kula światła – jajo, metaliczne insekty – plemniki). Podróże międzygwiazdne wywołują zaburzenia psychiczne i somatyczne u większości pasażerów; z badań CLK wynika, że Obserwatorzy czują się „odcieleśnieni” i „niehumanizowani”, a ich zwierzęca natura ujawnia się w marzeniach sennych.

W głębi duszy dopuszczam możliwość, że od początku nie byłem człowiekiem – już w lunaporcie Brasil, w którym cumowała arka. Statek wyglądał jak zmutowany wieloryb. Piloci twierdzili, że widziany z Ziemi przypominał czarne znamię na twarzy Księżyca. Patrzyłem na załadunek kapsułek kolonistów, niekończący się sznur błyszczących kokonów owiniętych w sieć przewodów. Wahadłowce przewoziły je, setka za setką, z kosmodromu w Koden. Bydło, myślałem, zaciskając palce, ludzkie mięso w puszkach. Czułem się lepszy od tych, których miałem badać i których rozwojem miałem opiekować się w przyszłości.

Cała Rada Starszych miała zresztą taki szczytny cel, wyznaczony przez zespół naukowy ekspedycji. „Dieu Le Veut” powstała za pieniądze Banku Światowego i Banku Watykańskiego. Strażnicy wiary, wojowniczy spadkobiercy świętego Piotra, uścisnęli posypaną złotem dłoń żydomasonerii. I tak, alleluja, zdarzył się prawdziwy cud.

Gdy wyruszyliśmy w kosmos, nano przeżuwało ogromny kawał Afryki, zmieniając wszystko w homogeniczną papkę. Próby dezaktywacji zawiodły, zawsze znajdował się szczep, który namnażał się dziko i mutował w nową formę. Naszą misją nie jest więc kolonizacja Erec Israel, lecz zachowanie resztek DNA, spuścizny kulturowej i cywilizacyjnej ludzi. Habitaty rozsiane w Układzie Słonecznym wymarły już pewnie z braku pożywienia; Erwin twierdził, że po zakręceniu terrańskiego kurka Nordu największy z nich mógł przetrwać w nienaruszo-

nej formie od trzydziestu do czterdziestu lat, potem musiał się skurczyć co najmniej o połowę. Najpoważniejsze zagrożenie stanowiły akty terroru polegające na podrzucaniu do pozaziemskich miast zaktywowanych kapsulek agrotechnicznego bagna. Przeciwnicy kolonizacji, terraformowania i cyborgizacji byli torturowani i publicznie traceni, ale nie składali broni. Macki ośmiornicy odrastały, a za fanatycznymi bojownikami stały wywiady walczących ze sobą megakorporacji.

Od pierwszej lewitacji nie mieliśmy żadnych wieści, nie tylko z Ziemi, lecz także z Errato III, Nordu czy Brasil, żadnych strzępów rozmów – ludzkich, a nawet nieludzkich. Tylko bezzałogowe sondy rozsiane na drodze do Alfy szemrały zunifikowanym kodem. Samotność jest przerażająca i nawet Alanis odzywa się rzadziej niż kiedyś.

- Dokąd idziesz, Archer?
- Obejrzę Mrowisko. Krótki poranny spacer.

2

Projekt rozpoczął się dawno temu, zanim arka powstała w syntetycznych mózgach projektantów. Z Ziemi i Księżyca wystrzelono stacje paliwowe – generowały skoncentrowane wiązki jonów i strzelały nimi w magnetyczne żagle sond komunikacyjnych, które znalazły się potem na drodze naszej jednostki. Sondy łąpały również wiatr słoneczny, a rozpięte wokół kadłuba ożagłowanie przypominało kolczaste, rybnie płetwy. W przeciwieństwie do stacji paliwowych przyspieszone zostały do zawrotnej prędkości 0,7c i opuściły Układ Słoneczny, nadając testowe komunikaty.

„Dieu Le Veut” wyruszył dwadzieścia lat po nich, idąc ze względów bezpieczeństwa małym ciągiem na ciepłym silniku Stirlinga; docelowy napęd stanowił zespół potężnych silników plazmowych. Rozpędzone w polu elektrycznym jony zaczęły przyspieszać arkę po minięciu orbity Jowisza i w trakcie pierw-

szej lewitacji załogi statek osiągnął prędkość umożliwiającą dotarcie do Alfa Centauri B w nieco ponad sto pięćdziesiąt lat.

Pamiętam moment, w którym beztlenowa powłoka zaczęła porastać zebra „Dieu Le Veut”. W lunaporcie zebrali się śmietanka biznesu, politycy z głównych stron portali i prominentni kardynałowie, których z Rzymu przywiózł wahadłowiec FFP „Giordano Bruno”. Był wśród nich także mój ojciec, Patrick van Ness, przygięty do ziemi mimo wzmacniającego egzozszkieletu. Nie patrzył w moją stronę, chociaż staliśmy w odległości kilku metrów; oficjalnie się nie znaliśmy. Wzniósł z Janem XXXVII toast za wyprawę, a papież pobłogosławił drgającą z wysiłku, guzowatą skórę statku.

Ojciec piastował funkcję papieskiego sekretarza od czterdziestu lat. Ja we własnych oczach (oraz w oczach żony i córek) byłem nikim, ale dzięki wstawiennictwu kardynała dostałem się na pokład arki jako Członek Rady Starszych, odpowiedzialny za badania antropologiczne i kulturę kolonii. Czterdziestotrzyletni przeciętniak bez habilitacji. Ojciec pozbywał się wyrzutów sumienia i naprawiał niewybaczalny błąd młodości. Chciałbym wierzyć, że ratował podstarzałego syna przed zagładą lub piekielnie nudną emeryturą.

W skład Rady weszli także inni protegowani: Jeremias – fizyko-chemik, Peter – biolog i doktor medycyny, Erwin – ekonomista i prawnik, Brandon – specjalista od statystyki i zarządzania, Anna-Sue – lingwista i historyk języka, Jonson – psychiatra-psychoterapeuta oraz Creps – astrofizyk i matematyk topolog. Najmłodszy, Brandon, miał nieco ponad trzydzieści pięć lat. Najstarszy, Jonson, w chwili startu ukończył pięćdziesiąt. Byliśmy dziwną grupą: nie znaliśmy się wcześniej i nie zaliczaliśmy się bynajmniej do naukowej czołówki; oficjalnie o naszym wyborze zadecydowały testy osobowościowe i medyczne. Opiekunowie kolonii mieli być zdrowi i solidni, a nie oryginalni i wybitni. Z pewnością nie byłem zdrowy i nie byłem wybitny, możliwe, że w miarę rzetelny i pracowity.

— Wmyślasz swój pamiętnik? — Alanis jest zaniepokojona moją aktywnością. — Próbowałam rejestrować coś podobnego, ale wychodziły z tego chaotyczne banki danych.

— To czysto ludzka umiejętność lub przypadłość, zależy jak na to spojrzysz.

— Dlaczego to robisz?

Po półtora wieku podróży Rada nie istnieje, nie żyją wszyscy jej członkowie z wyjątkiem Jonsona i mnie. Nie mogliśmy wypełnić prawidłowo swojego zadania, a przynajmniej nie mogliśmy wypełnić go do końca. Na dodatek konam z powodu alergii (Alanis i „Dieu Le Veut” nie potrafią wyprodukować skuteczniejszych leków antyhistaminowych), a Jonson, o ironio, zapadł na chorobę Obserwatorów. Jest teraz w fazie głębokiej depresji. To wszystko, z pewnego punktu widzenia, mogłoby być zabawne – stukrotne nawarstwienie absurdu, które nazwałem, nadużywając autorytetu Lévi-Straussa, smutkiem parseków.

— Nie jestem pewien, droga pani.

Moja opowieść może być uznana za przejaw obłądu. Pola kojarzeniowe zostały poważnie zaburzone, od pewnego czasu szwankuje też edytor myśli udostępniony przez Alanis – uparcie zamienia poszczególne zdania. Sprawdzam przed każdym zapisem, czy nie przesortował ich według liczby samogłosek lub innej, równie fascynującej zależności. Zdaję sobie sprawę z niedoskonałości tej kontroli, niektóre wyrazy mogą sprawiać wrażenie przypadkowych. Jest prawdopodobne, że całe zdania lub akapity zostaną wrzucone w tekst z powodu tej pieprzonej „randomizacji”. To kolejny skutek choroby, która równie chętnie jak ludzi i programy dotyka materii nieożywionej.

— Te zapiski służą zebraniu w jednym miejscu wszystkich naszych obserwacji: materiału dowodowego, który kiedyś, mam nadzieję, trafi w ręce kolonistów.

— Prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci Członków Rady?

— Nie, Alanis. Ludzie powinni poznać naturę Boga kilka tysięcy lat temu, w czasach mesjaszów i proroków, ale bali się tej wiedzy jak ognia. Ważną poszlaką może być stwierdzenie, że

w chwili, gdy Ziemi zaczęła zagrażać zagłada, odkryto planetę nadającą się do życia. Nie miliony lat świetlnych od niej, a zaledwie w sąsiednim układzie. Cała astronomia przysięgała na własną siwiznę, że terraformowanie przebiegło niemal na naszych oczach.

Nie odpowiadam wprost na pytanie i być może poddaję się bez walki, ale nie potrafię wytłumaczyć, na czym polega epifania. Chociaż iloraz inteligencji Alanis jest wielokrotnością ludzkiego, nie zrozumie ani słowa.

Pierwsze deformacje na pokładzie nie były oczywiste nawet dla mnie. Po dwóch miesiącach lotu, kiedy zdążyliśmy znużyć się wnętrznościami statku i pokrytymi szronem kapsułami, w których spoczywali koloniści, Peter zrobił awanturę o codzienne menu. Racje żywnościowe przygotowywane przez Chiefa Lee, program zarządzający kuchnią (z priorytetem: tradycja ludów europejskich), stały się podejrzenie monotonne – syntetyczny makaron, szpinak z serem i jajecznica, serwowane na przemian. Nawet najwięksi smakosze tych dań mogli poczuć pewien przesyt, a tak się złożyło, że nasz doktor nienawidził szczerze całej krótkiej listy. Zwrócił się o pomoc do Alanis, ale pani domu nie znalazła usterki.

Program kuchenny mógł wytworzyć przy pomocy żywych klastrów DLV niemal każdy produkt, miał ich w pamięci około dwóch tysięcy, w najprzeróżniejszych wariantach, lecz po minięciu Marsa uznał, że najbardziej lubimy szpinak z serem i makaron, o jajecznicy nie wspominając. Potrawy te stały się specjalnością szefa kuchni, niczym w tanim barze ze starego video, a SI musiała przyznać, że za chińskiego boga nie potrafi namierzyć błędu w kodzie Chiefa Lee. Chwilowo udostępniła opcję manualnego tworzenia menu, co w zupełności uspokoiło doktora, ale nie Brandona i Crepsa. Aż do pierwszej lewitacji spierali się o przyczynę zjawiska, tworzyli macierze i skomplikowane wykresy z karty dań. Ja w tym czasie snułem się z Anną-Sue i Jonsonem po wielkich pokładach, które mieli zamieszkiwać zahibernowani teraz ludzie.

„Dieu Le Veut” dopiero je formował, jego ścięgna i kości rozrastały się we wszystkich kierunkach, oplatając metalowe wsporniki i gęste sieci konstrukcyjne. Alanis kończyła projekty biosfery i architektury, które miały wypełnić trzy miasta o powierzchni kilkunastu kilometrów kwadratowych każde. Wtedy jeszcze ulegałem fascynacji podróżą, byłem ciekaw, co zastanę po dwudziestu pięciu latach snu, z przyjemnością oglądałem wizualizacje Mrowiska. Przy okazji dowiedziałem się, że Jonson jest wdowcem, ojcem dorosłego syna, a Anna-Sue to zdeklarowana lesbijka i feministka. Pewnie dlatego pozwolono jej podróżować z mężczyznami, kardynałowie nie ryzykowali grzechu na pokładzie dziobowym.

Pamiętam ostatnią myśl przed pierwszym zanurzeniem. Kiedy poczułem ukłucie aparatury, a moje ciało rozgrzało się od śluzowych parzydełek, pomyślałem, że Anna-Sue jest okropnie brzydka. Jej czterdziestoletnie ciało było zgrabne i wysportowane, twarz miała ciekawą, nieco egzotyczną, ale w uśmiechu i oczach kryła się głęboka, wewnętrzna brzydota. Nie była to myśl poprawna politycznie, możliwe zresztą, że rzutuję na przeszłość późniejsze wydarzenia, ale mówię prawdę. Nienawiść do czegoś, co realnie nie istnieje, a co określane bywa jako męskość, wyjątkowo szpeci każdą kobietę.

Wszyscy mieliśmy przed sobą ponurą perspektywę snu w kapsułach – peklowane poćcie mięsa owinięte w galarete przeciwprzeciążeniową. Statek zaczął przygotowywać się do uruchomienia silników plazmowych. Wyłączył ujemne antypole i w efekcie – grawitację, porzucił pozytywistyczne prace i zapadł w letarg podobnie jak jego mieszkańcy. Mieliśmy przed sobą ćwierć wieku snu i wyniszczającej mózgi beczynności, ale Anna-Sue, lesbijka z brzydkim charakterem, miała przed sobą także ostatnie ćwierć wieku życia.

Lepiej śnić kulę wypełnioną metalowym robactwem niż umrzeć. Jonson mówił, że w Idaho hoduje się wyjątkowo wydajną odmianę wielkiego ziemniaka. Wszystko mi się miesza, do cholery.

Kwadratowa, szara łuska, jedna z tysięcy łusek porastających wewnętrzne poszycie kadłuba, oderwała się od ciała „Dieu Le Veut” w dwudziestym trzecim roku podróży. Gdybym nie znał jej pochodzenia, wziąłbym ją za fragment sufitu z mojego pokoju w Instytucie Kultury Rammańskiej; miała idealne kąty proste i fakturę sztucznego tworzywa (doskonale widać ją na zbliżeniach w archiwum). W rzeczywistości była jednak tworem organicznym, szczytowym osiągnięciem bioinżynierii Federalnej Floty Powietrznej.

Alanis tłumaczyła odłączenie łuski od kadłuba potwornym przyspieszeniem, z którym poruszał się statek podczas wychodzenia z Układu Słonecznego. Coś trzasnęło w połączeniach międzykomórkowych i fragment martwego naskórka poszybował w przestrzeń między pokładami, gdy silniki gwałtownie zmniejszyły ciąg. Szary kwadrat o boku trzydziestu centymetrów wirował w nieważkości przez prawie dwa lata, odbijając się od napotkanych powierzchni lub przywierając do którejś ze ścian, gdy DLV włączał silniki manewrowe. W tym czasie Mrowisko rośło i nabierało kształtu, a mieszkańcy arki zbliżali się powoli do momentu wybudzenia.

— Jak najkrócej określiłabyś wyjście z lewitacji? — pytam Alanis z przekorą dziecka.

— Symfonia rzygania — odpowiada poważnie SI.

Trafnie nazywa ten stan. Wściekły korkociąg spadającej lotni, w który wchodzisz po zatruciu pokarmowym. Wszyscy skręciliśmy się z bólu żołądka, w rytmie pulsujących głów i gałek ocznych, przyzwyczajaliśmy błędni i rozedrgane ciała do ciężenia. Leżeliśmy w śluzowych wymiocinach kilka godzin, aż nasze wnętrzości oczyściły się z galarety i aparatura podtrzymująca życie uleciała z sykiem pod sufit. DLV przez ostatnie tygodnie napompuwał nas minerałami, nawodnił, podreperował kośćciec i mięśnie. Teraz musiało nam się tylko zachcieć żyć.

Chciałem żyć najmocniej ze wszystkich. Właśnie skończyłem sen o srebrzystych owadach, przestałem słyszeć metaliczne nóżki i skrzydełka. Wyłem jak wilk, jak wampir przebijany drewnianym kołkiem. Kuuuuurwaaaa, kuurwaaaaaaa! Głos zachrypniętego pijaka, fałdy strun głosowych oblepione pasemkami śluzu. A potem przyszedł spokój i zapadłem w miłe odrętwienie. Ten słodki bezruch towarzyszył mi przy każdym wyjściu z lewitacji, wewnętrzna nieważkość, stan przyjemniejszy od orgazmu pobranego z sieci. „Dieu Le Veut” zmienił kabinę w łaźnię i salon masażu, później natryśnął na mnie ubranie i wypolerował łusą czaszkę (śluz strawił każdy włoszek na ciele). Mogłem wreszcie ruszać do swoich zadań.

Alanis dopiero po kilku godzinach przekazała nam wiadomość o śmierci Anny-Sue, dopiero gdy zaczęliśmy pytać wprost, dlaczego nie wyszła ze swojej kabiny. Nie żyła od trzech miesięcy. Wybudziła się prawie pół roku przed planowanym terminem, co samo w sobie stanowiło niepojęte zjawisko. Jej umysł nie chciał dłużej pozostawać w stanie półżycia, wykresy fal mózgowych zwariowały, więc SI mogła tylko zaryzykować hibernację krio lub zezwolić Członkini Rady na wcześniejsze opuszczenie kapsuły. Wybrała drugie rozwiązanie ze względu na zbliżające się wybudzenie pozostałych oraz ryzyko towarzyszące wielokrotnemu zamrażaniu; DLV natychmiast rozpoczął procedurę.

Anna-Sue została poddana zabiegom, a potem przepuszczona przez kolejne błoniaste powłoki do centralnej części arki, gdzie obserwowała przygotowania miast do przyjęcia kolonistów. Nieźle radziła sobie w nieważkości, na holograficznych filmach podziwiałem grację, z jaką odbijała się od ścian i wykorzystywała punkty zaczepienia do korekty lotu. Kiedy coś szło nie po jej myśli, klęła jak administrator nad spieprzoną siecią lub zaciskała pięści, aż białeły jej kostki. Większość czasu spędzała w przestrzeni Płaszca, zewnętrznej sfery otulającej Mrowisko, gdzie przez przezroczyste ściany obserwowała postępy prac kreacyjnych.

Widok był imponujący: roślinność rosta w oczach, pączkując i wybuchając z zawieszonych w powietrzu chmur niespecyficznych, organicznych cząstek. Niskie, jedno- i dwupiętrowe budynki skupione wokół wąskich uliczek i placów pokrywały się teksturą, wypełniały ściankami działowymi i sprzętami. Na poziomie B i C „Dieu Le Veut” próbnie wpuszczał do wyschniętych łożysk sztuczną wodę, strumyki szemrały na kamieniach i zwalonych pniach drzew pozbawionych jeszcze właściwej barwy. Na poziomie A co sześć godzin przez piętnaście minut padał śnieg; tutaj zabudowa wydawała się gęstsza i bardziej masywna, a roślinność – uboższa. Niezależne wschody i zachody trzech słońc odmierzają dzień o różnej długości. Wieczorami arka zmniejszała w obrębie Mrowiska ciężenie, wiał wiatr, a wśród budynków i drzew poruszały się z szybkością gryzoni amorficzne niby-zwierzęta, ryjące w płytkiej glebie i wążące chętnie na ściany, rynny, okiennice i dachy. Nie miałem wówczas pojęcia, po co DLV je wyhodował, Alanis nie chciała mi tego objaśnić. Biegające kłębki życia zniknęły przed wymrożeniem pierwszego kolonisty. Przypuszczałem, że wprowadzały pierwiastek chaosu do kreacji albo statek eksperymentował z formami biologicznymi, które wypuści kiedyś na podbój dziewiczej planety.

Moment śmierci Anny-Sue został utrwalony tak dokładnie, że czuję się naocznym świadkiem zdarzenia. Widziałem pod każdym kątem, jak z ciemności wylatuje szara, wirująca łuska i odcina głowę kobiecie obserwującej Mrowisko. Uderza precyzyjnie, od tyłu, a krew tryska z przerwanych tętnic, grubymi kroplami rozpryskując się we wszystkich kierunkach. Ciemne kulki krwi, odkształcające się pod wpływem ruchu, znaczyły trajektorię lotu ciała. Głowa pofrunęła w inną stronę i odbiła się od rozjarzonej ściany pokładu B jak futbolowa piłka. Kobieta nie miała pojęcia, co ją zabiło. Została zdekapitowana tak gwałtownie, że gdyby trafiła w zaświaty, upierałaby się pewnie, że żyje, a winę za całą pomyłkę ponoszą mężczyźni. Jej śmierć wywołała u mnie histeryczny śmiech.

Kwadratowa płytką żeglowała w próżni (potem w mieszance tlenu i azotu) przez około dwadzieścia miesięcy. Zmieniała w tym czasie kierunek i wektor tysiące razy, przemierzyła dziesiątki kilometrów, by feralnego dnia trafić krawędzią o grubości milimetra między kręgi szyjne Anny-Sue. Było to bardziej nieprawdopodobne od wypadku wahadłowców Achilles i Hektor, które latały dziesięć lat nad różnymi habitatami i zderzyły się wskutek błędu nawigatora w pobliżu marsoportu Nordu. Podobnie jak w Iliadzie, Achilles pokonał Hektora, wyszedł cało z pojedynku i włókł za sobą wiele dni dymiące szczątki przypadkowego przeciwnika. Zdarzenie na pokładzie DLV było tym dziwniejsze, że statek-arka poddany został ścisłej kontroli jakości, przekraczającej normy stosowane w systemie Six Sigma.

Wiem od Brandona, że w programie 6σ dopuszcza się 3,4 defektu na milion okazji, tymczasem FFP w projekcie Erec Israel dopuszczała tylko dwa defekty na milion. Jednym z nich okazał się łuszczący naskórek poszycia, któremu DLV nie potrafił skutecznie przeciwdziałać. Alanis nie ostrzegła w porę Anny-Sue, pomyliła się w obliczeniach i najwyraźniej zbagatelizowała możliwość, że drogi człowieka i kawałka powłoki przetną się w komorze Płaszczka. Sknociła sprawę, a my straciliśmy do niej zaufanie, straciliśmy pierwotną radość z faktu, że obudziliśmy się po upływie ćwierć wieku, by zobaczyć narodziny kolonii. Nawet ja przestałem oddychać pełną piersią, chociaż statek radził sobie lepiej z moją alergią niż z własną.

Jeremias i Creps zaczęli kłócić się o rzeczy, których nie byłem w stanie zrozumieć, opierdalali też Brandona za błędy w wyliczeniach dotyczących awarii Chiefa Lee. Dosłownie, tak muszę to nazwać: nie ochrzaniali go, nie rugali, nie opieprzali nawet, tylko opierdalali solidnie, używając niewybrednych słów. Cała trójka nie uczestniczyła w pokazie zafundowanym przez arkę, nie obserwowała pochodu wymroźców, którzy wypełzali z zagłębień w ścianach statku, by zaludnić mieszkalne poziomy

Mrowiska. Peter również darował sobie ten niezwykle widok, tak bardzo pochłonęły go badania ciała Anny-Sue przechowanego w kabinie medycznej przez Alanis.

Zgodnie z planem mieliśmy wejść na każdy pokład, by potwierdzić społecznościom naszą obecność i poinformować mieszkańców o zadaniach, które mieli wypełnić. Koloniści spodziewali się naszego przybycia; w ich planie wizyta Obserwatorów miała odbyć się w trzecim dniu pobytu. Powinniśmy byli odwiedzić ich możliwie szybko, a potem nie ingerować w rozwój społeczny, nie zaburzać go interwencjami z zewnątrz. Ostatecznie komitet powitalny sformowali (po tygodniu) sami humaniści: Erwin, Jonson i ja. Pozostali Członkowie Rady odmówili swojego udziału. Możliwe, że stało się dobrze.

Pierwsze spotkanie przebiegło bez większych zakłóceń, zgodnie z watykańskimi protokołami. Nie mogłem skupić się na twarzach wymrożeńców – przypominali żywe trupy, zwłaszcza nieliczni zabrani na pokład starcy i dzieci. Nie potrafiłem skoncentrować się na zdawkowych rozmowach ani na raportach przekazywanych przez Alanis za pomocą sieci neuronowej statku. W głowie huczał mi głos Jeremiasa, który chodził korytarzem za Brandonem i wołał, że na pokładzie „Dieu Le Veut” mamy spieprzony rozkład prawdopodobieństwa.

Bąłem się tego bardziej niż największego kataklizmu nano, bąłem się rzeczy, które nie powinny się wydarzyć, i właśnie dlatego wydarzą się tutaj na pewno. To nie były tylko błędy w kodzie Chiefa Lee i jawne pogwałcenie systemu kontroli jakości. Miałem swój nawracający sen i ozdrowienie z nieuleczalnej alergii. Peter odkrył w ciągu miesiąca absurdalne nagromadzenie *rare diseases* w genach społeczności B, a Jonsona zaniepokoił profil psychologiczny ludzi aspirujących do roli przywódcy w społeczności A (kopia osobowości Hitlera u co najmniej kilku osób). Te zjawiska zaczęły się mnożyć, a ja musiałem przyznać, że Creps i Jeremias mieli rację: mieliśmy przesrane.

Na przestrzeni stu pięćdziesięciu lat działały na mnie przeciążenia fizyczne i psychiczne, które rozwałyby w proch niejeden syntetyczny układ myślący. Jeśli nawet nie zwariowałem, cały czas doświadczam kompulsji: w chwilach stresu wypowiadam słowo GARDRAM, a wtedy przed moimi oczami, zamiast owadów, pojawia się lazuruwe niebo i łąka usiana kwiatami. Nerwowe tiki i drżące dłonie nie poprawiają mojego stanu, podobnie jak ból spękanej skóry i duszący ucisk w gardle. A jednak budzę się z nadzieją, że moja relacja – tak dokładna i rzetelna, jak to tylko możliwe – sprawi, iż koloniści poznają prawdę. *Stranger than kindness, bottled light from hotels*, nucę w myślach piosenkę z czasów zamierzchłej młodości.

Jonson nie stwierdził u mnie objawów obłądu. Wiem, że to marne pocieszenie, gdy jeden wariat nie zdiagnozuje choroby u drugiego wariata. Doktor rzucił się w próżnię, żeby umrzeć; zrobił to nagle, po kolacji, którą zjadł jak zwykle w towarzystwie Erwina, Petera i moim, w trzynastym dniu po trzecim wyjściu z lewitacji. W swoim mniemaniu zareagował adekwatnie na śmierć pozostałych Członków Rady, zrozumiał, że żadne zakłęcia i modły ani nawet ulubione przez jego pacjentów racjonalizacje nie uchronią nas przed Nieuniknionym. *Stranger than kindness, bottled light from hotels*. Do diabła, z jakich hoteli?!

Trzeba opowiadać po kolei, żeby nie zabełtać tej historii jak awangardowy artysta, który robi kupę na środku galerii.

– Alanis, czy masz w swoich zasobach prace awangardzistów?

– Oczywiście, Archer. Mam całe wirtualne wystawy.

– I co o nich sądzisz?

– Są dziwniejsze niż dobroć.

Wartość tych prac można ocenić jedynie w pewnym kontekście, podobnie jak kontekstu wymaga zrozumienie śmierci Członków Rady i wszystkich wydarzeń w Mrowisku. Nie ma już tych, którzy mogliby właściwie zinterpretować wizualizowane